

Adam POTKAY

HUMANISTYKA NA UNIWERSYTECIE AMERYKAŃSKIM LA BELLE ÉPOQUE?

Kusi mnie by obecny moment, w którym znalazła się humanistyka, nazywać la „belle époque”, nawiązując do łagodności i wewnętrznego spokoju charakterystycznych dla wyższych sfer burżuazji w okresie przed pierwszą wojną światową i czynię tak, ponieważ czas, w którym żyjemy, jest prawdopodobnie takim samym okresem ciszy przed burzą. Jest to piękny okres i wydaje się, że jego przeznaczeniem jest ulec politycznej oraz gospodarczej niestabilności, która go podbudowuje.

Pragnę podziękować redakcji „Ethosu”, która zaprosiła mnie do podzielenia się z czytelnikami refleksją nad stanem i perspektywami humanistyki w Stanach Zjednoczonych. Ponieważ jest to temat obszerny i trudny, postanowiłem zawęzić go do pewnych aspektów. Przede wszystkim przedstawię stan humanistyki w systemie uniwersyteckim Stanów Zjednoczonych (nie zaś w kulturze jako takiej), a ze względu na fakt, że nasze uczelnie publiczne finansowane są przez poszczególne stany, które tym samym regulują ich działalność, skupię uwagę na uniwersytecie, który znam najlepiej, a którym jest College of William & Mary w stanie Wirginia, gdzie od roku 1990 wykładam literaturę brytyjską i literaturę porównawczą.

Istnieje długa tradycja wypowiadania się z niepokojem na temat stanu humanistyki na uniwersytetach amerykańskich, a ostatnio do jej ożywienia przyczynił się spadek liczby kandydatów na studia humanistyczne, zaznaczający się na czołowych uczelniach. Tytuł pewnego artykułu niedawno opublikowanego w „New York Timesie” głosi, że „wraz ze spadkiem zainteresowania naukami humanistycznymi college’e zaczynają się martwić”¹. I możliwe, że słusznie się martwią, ponieważ długofalowa perspektywa dla nauk humanistycznych – jak szczegółowo wyjaśniam poniżej – jest niepewna. Pozwolę sobie jednak zacząć od konstatacji pewnego faktu, o którym profesorowie elitarnych uniwersytetów amerykańskich nie mówią zbyt często: otóż, jeśli ma się dość szczęścia, by otrzymać stałe zatrudnienie na pełnym etacie profesorskim (ang. tenure) lub stanowisko profesorskie z możliwością uzyskania stałego zatrudnienia w przyszłości (ang. tenure-eligible) na którymkolwiek z uniwersytetów amerykańskich plasujących się wysoko w rankingach bądź

¹ Zob. T. L e w i n, *As Interest Fades in the Humanities, Colleges Worry*, „The New York Times” z 4 XI 2013 (http://www.nytimes.com/2013/10/31/education/as-interest-fades-in-the-humanities-colleges-worry.html?_r=0).

też uzyskujących w tych rankingach pozycje średnie, to można śmiało twierdzić, że nigdy dotąd nie było lepszych warunków wykładania przedmiotów humanistycznych czy prowadzenia badań naukowych z tego zakresu. Prawdopodobnie również dla studentów, którzy dysponują odpowiednimi środkami finansowymi, by móc „łapać dzień każdy, nie wierząc ni trochę w złudnej przyszłości obietnice płóche”², kształcących się tak na studiach licencjackich, jak i podyplomowych, nigdy wcześniej nie było lepszych warunków studiowania nauk humanistycznych. Dlaczego zatem, mimo niepewności jutra, jest to dla humanistyki czas najlepszy? Częściowo z tego powodu, że ze względów ekonomicznych zainteresowanie naukami humanistycznymi na studiach licencjackich spada, a studenci na studiach podyplomowych mają ograniczone perspektywy uzyskania nowych stanowisk profesorskich. Pierwsze z wymienionych zjawisk przyczynia się do spadku liczby studentów na studiach licencjackich, drugie zaś do spadku liczby studentów przyjmowanych na studia doktoranckie, i to nawet w sytuacji – co ma znaczenie decydujące – gdy liczba nauczycieli akademickich na wydziale zasadniczo się nie zmniejszyła, a biorąc pod uwagę względne bezpieczeństwo pracy na stałym etacie profesorskim, będzie się zmniejszać co najwyżej stopniowo. Krótko mówiąc, w wielu różnych college’ach i na uniwersytetach amerykańskich liczba studentów przypadających na jednego nauczyciela akademickiego na wydziale znacznie się zmniejszyła, co prowadzi – przynajmniej teoretycznie bądź też w większości przypadków – do mniejszej liczebności grup ćwiczeniowych, stwarza możliwość poświęcenia większej uwagi konkretnemu studentowi, a zarazem tworzy lepsze warunki pracy wykładowców.

Jednocześnie na wielu uniwersytetach amerykańskich, a być może na ich większości – na pewno zaś na tych, które znajdują się w czołówce – tak zwane obciążenie dydaktyczne, czyli liczba przedmiotów wykładanych przez pracownika naukowego w ciągu semestru czy trymestru, w okresie ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat zmniejszyło się z trzech bądź czterech przedmiotów na trymestr do dwóch lub trzech, czemu towarzyszy również zwalnianie pracowników z obowiązku prowadzenia zajęć w przypadku przyjmowania przez nich obowiązków administracyjnych. A zatem jako dyrektor instytutu anglistyki – co niewątpliwie dostarcza mi czasami uciążliwej pracy – wykładam tylko jeden przedmiot w ciągu semestru. Ponadto liczbę studentów na kursach, które łączą się z intensywnymi ćwiczeniami w pisaniu, ograniczyliśmy do dwudziestu siedmiu, a maksymalna liczba studentów uczęszcza na mniej niż połowę zajęć prowadzonych na naszym uniwersytecie. Podczas pierwszego semestru

² „Carpe diem, quam minimum credula postero”. H o r a c y, *Ody*, 1.11, tłum. H. Sienkiewicz, w: tenże, *Wybór poezji*, tłum. zbiorowe, oprac. J. Krókowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1975, s. 21.

swojej pracy w College of William & Mary w roku 1990 wykładałem trzy przedmioty, mając w sumie pod opieką około stu dziesięciu studentów; w minionym semestrze, ucząc na pół etatu, prowadziłem zajęcia z jednego przedmiotu i miałem pod opieką dwudziestu jeden studentów. Spadek obciążenia dydaktycznego wykładowców nauk humanistycznych jest w dużym stopniu spowodowany zmniejszeniem obciążenia dydaktycznego wykładowców nauk ścisłych i zwiększeniem wobec nich oczekiwań dotyczących osiągnięć badawczych. Władze uniwersytetu stoją bowiem na stanowisku, że należy zachować jednakową proporcję obciążenia dydaktycznego i (generalnie) oczekiwań dotyczących osiągnięć naukowych w przypadku pracowników zajmujących się naukami ścisłymi i w przypadku humanistów. Przedmioty ściśle zainicjowały proces wynoszenia badań naukowych ponad obowiązki dydaktyczne, a wykładowcy nauk humanistycznych są obecnie beneficjentami tej najnowszej zmiany wprowadzonej na nowoczesnym uniwersytecie badawczym.

Mniejsza liczba zajęć i mniejsza liczba studentów – warunki te pozwalają mi poświęcać więcej czasu konkretnym studentom, co okazuje się rzeczą ważną w sytuacji, gdy wielu z nich potrzebuje więcej uwagi niż ci, których uczyliśmy dziesięć czy dwadzieścia lat temu, a dzieje się tak, ponieważ na etapie szkoły średniej uczniowie nie otrzymują już systematycznego wykształcenia w zakresie gramatyki, umiejętności pisania i myślenia krytycznego, nie mówiąc o kształceniu z zakresu analizy literackiej. (W istocie poziom przedmiotów humanistycznych w szkołach średnich jest źródłem o wiele bardziej niepokojącego problemu niż ich status na poziomie akademickim – kwestia ta wykracza jednak poza zakres niniejszego eseju).

Mniejsza liczba zajęć i studentów pozwala mi również na prowadzenie bardzo aktywnego życia naukowego, na pisanie książek i artykułów, organizowanie specjalistycznych seminariów i konferencji oraz udział w tego rodzaju przedsięwzięciach, na pracę w kolegiach redakcyjnych czasopism naukowych i recenzowanie publikacji dla wydawnictw akademickich. Sądzę, że obecny czas w wyjątkowy sposób sprzyja wszystkim tym aktywnościom możliwym w przypadku naszego zawodu, a dzieje się tak z wielu różnych powodów. Ogromnie doceniam przede wszystkim zmiany na lepsze, które zawdzięczamy rozwojowi technologii w okresie ostatnich dwudziestu pięciu czy trzydziestu lat. W roku 1987, kiedy pisałem swoją pracę doktorską, kupiłem pierwszy edytor tekstu, a wkrótce potem pozbyłem się swojej starej maszyny do pisania: „wycinanie i wklejanie” uległo radykalnej zmianie. W połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku poczta elektroniczna umożliwiła błyskawiczną wymianę korespondencji i usprawniła przesyłanie dokumentów, co przyczyniło się do przekształcenia moich obowiązków redaktora czasopisma naukowego, w szczególności w kontakcie z zagranicznymi autorami i recenzentami. W pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku moje życie naukowe

znacznie się wzbogaciło dzięki dostępności różnych baz danych, które można przeszukiwać, takich jak JSTOR, Project Muse czy ECCO (Eighteenth-Century Collections Online), do których mój uniwersytet bardzo szybko wykupił dostęp. Wszystkie te innowacje uważam za prawie absolutne dobro dla nauk humanistycznych – mówię „prawie” tylko z tego powodu, że rodzi się we mnie pewna obawa, iż nowo wypromowani doktorzy, wyszkoleni w badaniu „wielkich zbiorów danych” oraz innych możliwości humanistyki cyfrowej, zatracili umiejętność niespiesznej, spokojnej lektury poezji czy prozy artystycznej, a być może po prostu stracili nimi zainteresowanie. W podobnym też duchu świat, w którym istnieje Tłumacz Google, nie zachęca pracowników naukowych posługujących się językiem angielskim do biegłego opanowania innych języków (tak dawnych, jak i nowożytnych) i pozwala im stanowić grupę, która osiągnęła monojęzyczny spokój ducha.

Poza tym, że technologia dostarcza dziś lepszych narzędzi pracy naukowej – również możliwości komunikacji międzynarodowej i międzynarodowej współpracy – obecną sytuację nauk humanistycznych charakteryzuje także brak podziałów politycznych i konfliktów krytyczno-metodologicznych, które definiowały znaczną część życia intelektualnego w ubiegłym stuleciu. W Stanach Zjednoczonych początku dwudziestego wieku doświadczaliśmy konfliktu między filologami reprezentującymi „stary styl” a formalistami spod znaku „nowej krytyki”, w okresie ostatnich trzydziestu lat toczyły się zaś jeszcze bardziej zajadłe debaty między przedstawicielami formalizmu, krytyki historycznej oraz teorii kontynentalnej. Pod koniec dwudziestego wieku humanistyka w Stanach Zjednoczonych stała się również – jakkolwiek w nieco mniejszym stopniu niż miało to miejsce w Europie – przedmiotem silnej polityzacji, kiedy to pozostałości zapalczywej krytyki marksistowskiej scaliły się z wyzwoleńczym potencjałem teorii feministycznej oraz teorii odmienności (ang. queer theory). Gwałtowność ówczesnych debat wraz z nadużyciami, jakich się w nich dopuszczano, tworząc napędzane tymi teoriami modele interpretacyjne, uległa jednak znacznemu wyczerpaniu. Obecną chwilę charakteryzują przede wszystkim spokój i stosowność, uprzejmość i rozumność – niektórzy mogą co prawda uważać to za rezultat intelektualnego wypalenia, ale ja wolę dostrzegać raczej jasną stronę tej sytuacji. Nowo wypromowani doktorzy, z którymi współpracowałem, piszą w sposób klarowny, a zarazem głęboko humanistyczny – parafrazując słowa byłego przewodniczącego Modern Language Association of America, można by powiedzieć, że piszą oni prozą, za której przeczytanie ktoś będzie być może skłonny zapłacić, nie zaś prozą, za której czytanie trzeba kogoś (czyli profesora) opłacać³. Ponownie zaczęliśmy

³ Zob. E. Showalter, *Nice Work if You Can Get It*, „Modern Languages Association Newsletter” 30(1998) nr 4, s. 3n.

myśleć o sensie i wartościach, o formie i pięknie, o nieprzemijających pytaniach metafizycznych, etycznych i religijnych, które zawsze powinny stać w centrum humanistyki. W okresie ostatnich trzech dekad dwudziestego stulecia upolitycznieni krytycy zanudzali nas potrzebą „przesłuchiwania” tekstów literackich, jak gdyby były one wszystkie podejrzane o zbrodnie przeciwko ludzkości. Teraz spoglądam na swoją półkę i wśród moich ulubionych książek z ostatnich lat widzę następujące tytuły: *Gratitude: An Intellectual History* [„Wdzięczność. Historia intelektualna”]⁴; *Security: Politics, Humanity, and the Philology of Care* [„Bezpieczeństwo. Polityka, ludzkość i filologia troski”]⁵; *Surprise: The Poetics of the Unexpected from Milton to Austen* [„Zdziwienie. Poetyka nieoczekiwanego od Milтона do Austen”]⁶; oraz manuskrypt książki zatytułowanej *Self and Soul: In Defense of Ideals* [„Ja i dusza. W obronie ideałów”], którego recenzję wydawniczą niedawno przygotowywałem dla Harvard University Press. Książki te są przykładami głębszej tendencji w literaturoznawstwie amerykańskim, zmierzającej ku zwrotowi w głąb, ku refleksji nad kondycją ludzką, podejmowanej w szeroki, transhistoryczny sposób. Kusi mnie by obecny moment, w którym znalazła się humanistyka, nazywać la „belle époque”, nawiązując do łagodności i wewnętrznego spokoju charakterystycznych dla wyższych sfer burżuazji w okresie przed pierwszą wojną światową i czynię tak, ponieważ czas, w którym żyjemy, jest prawdopodobnie takim samym okresem ciszy przed burzą. Jest to piękny okres i wydaje się, że jego przeznaczeniem jest ulec politycznej oraz gospodarczej niestabilności, która go podbudowuje.

A być może jakaś jeszcze bardziej przypominająca model dziewiętnastowiecznej belle époque jest ciągle przed nami, społeczeństwo amerykańskie zmierza bowiem ku podziałowi społecznemu niespotykanemu od czasów Marcela Prousta i Henry’ego Jamesa, ku kolejnemu „wiekowi połączanemu”, by posłużyć się terminem z historii Stanów Zjednoczonych. Podejrzewam, że w najbliższej przyszłości humanistyka stanie się domeną dużo mniejszego i bardziej elitarnego grona badaczy – a podobny los czeka też cały system uniwersytecki w Ameryce. Owo kurczenie się nie będzie czymś absolutnie złym. W swojej obecnej postaci nasz system szkolnictwa wyższego nadmiernie napełniał wskutek przyływu studentów⁷ kuszonych łatwo dostępnymi

⁴ Zob. P.J. Leithart, *Gratitude: An Intellectual History*, Baylor University Press, Waco, Texas, 2014 (przyp. tłum.).

⁵ Zob. J.T. Hamilton, *Security: Politics, Humanity, and the Philology of Care*, Princeton University Press, Princeton, New Jersey, 2013 (przyp. tłum.).

⁶ Zob. Ch.R. Miller, *Surprise: The Poetics of the Unexpected from Milton to Austen*, Cornell University Press, Ithaca–London 2015 (przyp. tłum.).

⁷ W latach 1991–2002 liczba studentów w uczelniach nadających stopnie naukowe zwiększyła się o 11%; w latach 2001–2011 wzrosła ona o 32% procent, z 15,9 miliona do 21 milionów. Zob. statystyki krajowego centrum do spraw edukacji (US National Center for Education Statistics, nces.ed.gov).

pożyczkami federalnymi i znacznie wykracza poza potrzeby rynku pracy dla specjalistów. Ekonomisci twierdzą, że wskutek tej sytuacji wielu absolwentów college'ów, zmuszonych spłacać znaczne zadłużenie (zbiorczo sięga ono jednego biliona dolarów), przyjmuje zatrudnienie, do którego ma zbyt wysokie kwalifikacje, podczas gdy pracownicy bez dyplomów zmuszeni są podejmować jeszcze bardziej niewdzięczne zawody⁸.

Dostępność pożyczek dla studentów zbiegła się z wycofywaniem się poszczególnych stanów z finansowania uniwersytetów publicznych i stanowych, co przyczynia się do gwałtownego wzrostu kosztów utrzymania tych uczelni i zadłużenia studentów. Około 80% studentów kształcących się na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych studiuje na uczelniach publicznych, finansowanych przez konkretne stany⁹. Uniwersytety te, a w szczególności najlepsze z nich (w tym również ten, na którym pracuję), stały się w okresie ostatnich dwudziestu pięciu lat dużo droższe. W przeszłości poszczególne stany miały zwyczaj hojnego dotowania wykształcenia studentów, którzy z nich pochodzili, dziś jednak sytuacja się zmieniła. Posłużę się tu przykładem swojego uniwersytetu, ale w tym celu muszę najpierw przedstawić fragment jego historii oraz okoliczności, w jakich stał się on uczelnią publiczną. College of William & Mary jest własnością stanu czy też – jak się tutaj mówi – Wspólnoty (ang. Commonwealth) Wirginii od roku 1906, ale jego historia sięga znacznie dalej. Jest to drugi z najstarszych college'ów w Ameryce, starszy od niego jest jedynie Harvard, założony w roku 1636. 8 lutego 1693 roku monarchowie angielscy Wilhelm III Orański i Maria II podpisali kartę założycielską „stałego kolegium kształcącego w zakresie teologii, filozofii, języków oraz innych pożytecznych dyscyplin humanistycznych i ścisłych”, które miało się mieścić w kolonii Wirginia. W tym właśnie kolegium wykształcenie na poziomie licencjackim odebrał Thomas Jefferson, a uczyli się w nim również prezydenci James Monroe i John Tyler. Uczelni tej nie sprzyjały jednak wichry wojny: College of William & Mary to jedyna amerykańska uczelnia, którą dwukrotnie okupowały siły wroga – za pierwszym razem, podczas inwazji angielskiej w trakcie wojny o niepodległość w latach 1781-1782, były to wojska brytyjskie, a później, podczas wojny secesyjnej w latach 1862-1865, uniwersytet zajęła armia federalna. Zrujnowany finansowo college został następnie odkupiony przez Wspólnotę Wirginii i ponownie rozpoczął działalność w roku 1906, funkcjonując od tego czasu jako uniwersytet publiczny. Do dziś zachował w swojej nazwie słowo

⁸ Zob. R. Reich, *Why College is Necessary but Gets you Nowhere*, wpis z 24 XI 2014, <http://robertreich.org/post/103472733520>. Robert Reich, były sekretarz do spraw rynku pracy w administracji Billa Clintona, jest profesorem polityki publicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

⁹ Zob. *Investing in Futures: Public Higher Education in America*, <http://www.cuny.edu/site/cc/higher-education/gi-bill.html>.

„college”, ale faktycznie jest on średniej wielkości uniwersytetem, który oferuje czterdzieści kierunków studiów policencjackich i zawodowych i w którym kształci się 6 299 studentów na studiach licencjackich oraz 2 138 studentów na studiach magisterskich i doktoranckich. Uniwersytet ten zatrudnia obecnie 609 pełnoetatowych pracowników naukowych, z czego niemal jedna trzecia to wykładowcy przedmiotów humanistycznych, których praca łączy się przede wszystkim z dydaktyką na studiach licencjackich¹⁰.

W ostatnich latach, w reakcji na obniżające się dotacje Wspólnoty Wirginii, czesne na naszym uniwersytecie gwałtownie wzrosło. Stan wymaga, by College of William & Mary, podobnie jak University of Virginia (uczelnia założona przez Thomasa Jeffersona w roku 1819 jako szkoła finansowana z funduszy publicznych), rekrutował przynajmniej 65% studentów spośród mieszkańców naszego stanu, i zezwala, by 35% studentów pochodziło spoza niego. Kiedy rozpoczynałem swoją pracę w roku 1990, czesne dla studentów z Wirginii było wyjątkowo niskie i wynosiło 1 900 dolarów; czesne dla studentów spoza tego stanu sięgało wówczas 7 800 dolarów i było znacznie niższe niż w przypadku innych uniwersytetów oferujących wykształcenie na porównywalnym poziomie. Środki finansowe, których źródłem było czesne, stanowiły wówczas znacznie mniejszą część całkowitego budżetu uczelni: w roku 1990 Wspólnota Wirginii zapewniała 33% podstawowego budżetu operacyjnego. Obecnie dotacja stanowa została obniżona i gwarantuje finansowanie jedynie 12% naszego budżetu operacyjnego (w przypadku University of Virginia liczba ta to 8%). W odpowiedzi na tę sytuację znacznie wzrosło czesne: w przypadku studentów z Wirginii wynosi ono obecnie 12 500 dolarów (co sześciokrotnie przewyższa koszt kształcenia miejscowego studenta w roku 1990), a w przypadku studentów spoza stanu oraz studentów zagranicznych sięga już 28 000 dolarów (sumy niemal czterokrotnie przekraczającej swój odpowiednik z roku 1990). Studenci muszą również opłacać koszty utrzymania i podręczniki, na co potrzebne jest dodatkowo około 16 000 dolarów. A zatem w przypadku studentów spoza stanu czesne i koszty utrzymania wynoszą łącznie 44 000 dolarów, co stanowi niemal średni dochód roczny gospodarstwa domowego w Ameryce, który w roku 2013 wynosił 52 000 dolarów. Mamy możliwość udzielania jedynie bardzo niewielkiej pomocy finansowej studentom znajdującym się w potrze-

¹⁰ Na naszym wydziale zatrudnionych jest na pełnych etatach profesorskich pięćdziesięciu pracowników naukowych wykładających języki nowożytne, czterdziestu dwu anglistów i specjalistów w zakresie lingwistyki, trzydziestu siedmiu historyków, czternastu wykładowców filozofii, trzynastu wykładowców muzyki, trzynastu pracowników naukowych zajmujących się sztuką i historią sztuki, dziewięciu filologów klasycznych (specjalistów z zakresu greki, łaciny i języka hebrajskiego) oraz ośmiu religioznawców. Stosunek liczby studentów do liczby pracowników naukowych (dwunastu studentów na jednego profesora) jest niższy niż na którymkolwiek innym czołowym uniwersytecie publicznym.

bie. W przypadku Uniwersytetu Harvarda, uczelni prywatnej, całkowity koszt studiów wynosi 62 000 dolarów rocznie, wliczając w to koszty utrzymania, ale ogromne dotacje prywatne, które uczelnia ta otrzymuje, pozwalają jej na zapewnianie hojnego wsparcia finansowego tym studentom, którym jest ono potrzebne.

Rosnący koszt wykształcenia uniwersyteckiego to dla studentów bodziec, by zdobyć dyplom z przedmiotów, które – jak sądzą ich rodzice i oni sami – zapewnią im intratne posady. Na Harvardzie najpopularniejsze kierunki to zarządzanie i gospodarka; jak donosi wspomniany już artykuł niedawno opublikowany w „New York Timesie”, w okresie ostatniego dziesięciolecia na uczelni tej odnotowano dwudziestoprocentowy spadek liczby absolwentów kierunków humanistycznych. Ten sam artykuł w nawet większym stopniu koncentruje się na fakcie jeszcze bardziej radykalnego schyłku humanistyki na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, gdzie największa liczba absolwentów uzyskuje obecnie dyplom z informatyki. Chociaż 45% nauczycieli akademickich wykładających na studiach licencjackich oferowanych na tej uczelni to humaniści, jedynie 15% studentów pragnie uzyskać dyplom na kierunku humanistycznym¹¹. W College of William & Mary spadek zainteresowania humanistyką nie jest (jeszcze) aż tak dramatyczny. W latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku język angielski i literatura angielska stanowiły jeden z trzech czołowych kierunków studiów; w czasach najnowszych (według danych z roku 2012) są one na czwartym miejscu po kierunkach takich, jak zarządzanie, psychologia i biologia, a zaraz po nich plasuje się zarządzanie finansami (dyplom z tego przedmiotu można uzyskać w naszej szkole biznesu). Przypuszczam, że zarządzanie finansami – jeśli jeszcze nie wyprzedziło języka angielskiego – to uczyni to już wkrótce.

Warto jednak zauważyć, że w amerykańskim systemie uniwersyteckim, w przeciwieństwie do wielu systemów europejskich, liczba dyplomów (ang. majors) uzyskanych z nauk humanistycznych nie jest taka sama, jak liczba studentów uczestniczących w zajęciach z przedmiotów humanistycznych. W College of William & Mary, uniwersytecie znajdującym się w czołówce uczelni amerykańskich, nawet studenci, którzy uzyskują dyplomy z zarządzania finansami, muszą zdać egzaminy z kilku przedmiotów humanistycznych: nasze ogólne zasady dotyczące kształcenia wymagają, by wszyscy studenci na studiach licencjackich w jakimś stopniu zetknęli się z dyscyplinami humanistycznymi. W istocie jest tak, że kierunek, z którego student otrzymuje dyplom, czy też główny obszar jego zainteresowań obejmuje zazwyczaj jedynie 30%-40% wszystkich przedmiotów, których uczy się on w ciągu czterech lat. Ponadto niektóre obszary studiów magisterskich i doktoranckich niewpi-

¹¹ Zob. Lewin, dz. cyt.

sujące się w pole nauk humanistycznych wykazują jednak zdrowy respekt dla humanistyki i tak na przykład szkoły medyczne w Stanach Zjednoczonych wymagają, by kandydaci do nich odbyli kilka kursów z zakresu literatury, w nadziei, że w ten sposób nauczą się oni komunikować i słuchać oraz z wyobraźnią i współczuciem uczestniczyć w życiu innych ludzi.

Co w takim razie z magisterskimi i doktoranckimi studiami z zakresu humanistyki? Przy obecnym rynku pracy, niekorzystnym dla nowych absolwentów, studia doktoranckie mogą wydawać się atrakcyjną opcją dla najlepszych studentów kierunków humanistycznych i pod pewnymi względami tak właśnie jest: student rozpoczynający studia doktoranckie w Stanach Zjednoczonych może oczekiwać, że pokryte zostanie jego czesne oraz że będzie otrzymywał od dwudziestu do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznego stypendium przez okres pięciu bądź sześciu lat. Swoim najbardziej zaangażowanym studentom mówię, że zanurzenie się w wielkiej sztuce i w dorobku myślicieli z przeszłości to wspaniały sposób na przeżycie młodości między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, jeśli zaś okaże się, że nie będą w stanie znaleźć pracy wykładowcy uniwersyteckiego, to istnieją również inne możliwości w szkolnictwie średnim czy w pracy wydawniczej, aktywność polityczna i tak dalej. Przyjęcia na studia doktoranckie podlegają coraz gruntowniejszej selekcji, a pełnoetatowe stanowiska z możliwością stałego zatrudnienia dla doktorantów są coraz częściej nieliczne. W okresie minionych dwudziestu pięciu lat programy studiów doktoranckich z zakresu nauk humanistycznych uległy drastycznemu skurczeniu. Jeśli chodzi o filologię angielską, to w ramach dużego programu, jaki oferowany jest na przykład na University of Virginia, w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia przyjmowano siedemdziesięciu pięciu kandydatów rocznie, a obecnie jest to jedynie dwunastu studentów. Z różnych powodów w systemie uniwersyteckim niewiele jest miejsc pracy dla nowo wypromowanych doktorów. Dzieje się tak po pierwsze dlatego, że uniwersytety (w szczególności duże uniwersytety stanowe) ograniczają koszty operacyjne, zatrudniając na część etatu personel pomocniczy, przede wszystkim magistrów, nie zaś doktorów, którzy byliby uprawnieni do starania się o stałe zatrudnienie na pełnoetatowym stanowisku¹². Drugi czynnik to tendencja utrzymująca się wśród profesorów zatrudnionych na stałym etacie, którzy nie mają wyznaczonego obowiązkowego wieku emerytalnego, by pracować po przekroczeniu siedemdziesiątego, a nawet osiemdziesiątego roku życia. Powiedziałbym, że tendencja ta jest niewskazana z punktu widzenia polityki państwa, a być może należy ją nawet uznać za niemoralną (jakkolwiek stwierdzenie, że pracownicy naukowi powinni przechodzić na emeryturę, jest na publicznym uniwersytecie

¹² Por. M. B é r u b é, *Abandon All Hope*, „Pedagogy: Critical Approaches to Teaching Literature, Language, Composition, and Culture” 15(2014) nr 1, s. 9.

amerykańskim niedozwolone, podobnie jak niedozwolone są wszelkie próby dyskryminacji ze względu na wiek). W kontekście swojego własnego instytutu muszę jednak zawiesić tę myśl ze względu na możliwość, że kiedy moi starsi koledzy przejdą na emeryturę, ich stanowiska zostaną zlikwidowane. Przejście pracowników na emeryturę zostanie bowiem z dużym prawdopodobieństwem wykorzystane przez władze uniwersytetu, by zmniejszyć wydziały humanistyczne, a w ten sposób godne pozazdroszczenia proporcje liczby studentów do liczby pracowników naukowych staną się przeszłością.

Bez względu na to, jaka okaże się przyszłość humanistyki, trudno przypuszczać, że będzie się ona wiązać z jej ekspansją. Wobec rosnących kosztów wykształcenia uniwersyteckiego oraz lęków, które generuje oparty na wysokiej konkurencji światowy rynek pracy, studenci, przede wszystkim studenci płci męskiej, ciężą ku tym gałęziom wiedzy, które wydają się prowadzić do bezpośredniego sukcesu finansowego (jak na przykład biznes) czy też zapewniają natychmiastowe bezpieczeństwo finansowe (jak inżynieria czy informatyka). (Warto przy tym zauważyć, że coraz większy procent studentów uzyskujących dyplomy z zakresu nauk humanistycznych to kobiety).

Z poszukiwaniem dochodowej pracy wiąże się jednak pewien problem, a mianowicie często trudno jest przewidzieć, jakie będą w przyszłości potrzeby rynku. Mamy dziś wielki popyt na inżynierów i informatyków, ale tendencja ta może się nie utrzymać – w istocie raczej nieprawdopodobne jest, że będzie ona trwała, jeśli coraz więcej studentów wybierać będzie te właśnie dziedziny. Wykształcenie uniwersyteckie ze specjalizacją z któregoś z przedmiotów ścisłych i społecznych, jak również humanistycznych, nie stanowi już dziś raczej pewnego pomostu do lepszej kondycji ekonomicznej, jakim było od czasu pierwotnej ekspansji amerykańskiego systemu uniwersytetów po drugiej wojnie światowej, aż do jego hiperekspansji w okresie minionych dwudziestu lat.

Jeśli wykształcenie nie jest dziś w stanie zagwarantować lepszej przyszłości ekonomicznej, to wydaje mi się, że nastał obecnie właściwy czas, by powrócić do jego dawnej koncepcji, zgodnie z którą miało ono służyć czynieniu młodych ludzi lepszymi osobami. Swoich studentów zachęcam, by bez względu na to, co będą w życiu robić, nie przestawali czerpać radości z czytania i aby czytali najlepsze książki. Zadowolenie stąd płynące jest do pewnego stopnia egoistyczne, ale ma ono tę zaletę, że czyni człowieka względnie niezależnym od okoliczności zewnętrznych, w tym także od koła fortuny, jakim jest nasza zglobalizowana gospodarka. Ktoś, kto uzyskał dyplom z zarządzania finansami, a jedynym celem jego studiów był zysk finansowy, dozna głębokiego rozczarowania, podejmując nisko płatną pracę, do której ma zbyt wysokie kwalifikacje. Jeśli jednak poznał Arystotelesa i Akwinatę, Tocqueville'a i Tołstoja, ta sama praca okaże się dla niego co najwyżej rozczarowaniem względnym. Ponadto życie, w którym obecne są książki, idee i wartości, ma również

swój wymiar publiczny: stanowi nadal niezbędny element odpowiedzialnej i opartej na empatii postawy obywatelskiej w wolnym i otwartym państwie republikańskim. Kończę zatem te refleksje fragmentem nadal dziś ważnej wizji celu uniwersytetu publicznego, którą pozostawił nam Thomas Jefferson: „Rozwijając zdolność naszej młodzieży do myślenia, wzbogacać jej umysły, rozwijać jej zmysł moralny i zaszczepiać w niej reguły cnoty i porządku [...]. I ogólnie, formować w niej nawyk myślenia, prawidłowego działania, sprawiać, by ukazywała sobą przykład cnoty i wewnętrznej szczęśliwości”¹³.

Tłum. z języka angielskiego *Dorota Chabrajska*

¹³ T. J e f f e r s o n, *Report to the Commissioners of the University of Virginia* [The Rockfish Gap Report], 1818, http://www.founding.com/founders_library/pageID.2361/default.asp (tłum. fragm. – D.Ch.).